

Marcel Proust szukał straconego czasu. Dziennikarz szuka ludzi straconych, zagubionych gdzieś przez piłkarski świat. Dlaczego odeszli? Czy chcieliby wrócić? Jak oceniają z dystansu swoje doświadczenia? Co radzą swoim następcom. Takie pytania zadano Alvaro Marchiniemu, byłemu prezesowi Romy. Oto archiwalny wywiad ze stycznia 1975 roku.

Czerwony Papież, komunista miliarder - mówili o nim jego przeciwnicy, mieszając sport z polityką. Chcieli przekonać opinię publiczną, że Włoska Partia Komunistyczna opanowała Romę. Po rozstaniu z Romą, Marchini był tylko energicznym przedsiębiorcą, który chciał trzymać się z dala od wszelkich polemik. A tymczasem dalej mieszano go w to wszystko, ponieważ był teściem kapitana Romy, Ciccio Cordovy, który poślubił jego córkę, Simonettę. Kiedy Romie szło źle, złośliwcy mówili o spisku wymyślonym przez Cordovę, żeby wysadzić z siodła Gaetano Anzalone i przywrócić w klubie rządy Marchiniego. Mówiło się też, że Marchini wszedł do Immobiliare, żeby zwiększyć swoją władzę, a Immobiliare zakupiło (albo zamierza zakupić) dwa dzienniki, bo to dałoby Marchiniemu broń do walki z Anzalone.

Jesteśmy w biurze Marchiniego w dzielnicy EUR, via Montagne Rocciose 60. Przez godzinę zapomina o interesach. Mówi sekretarce, że nie ma go dla nikogo. Jest do dyspozycji "Guerrin Sportivo". I tak opowiada o stanie rzeczy:

AM: Nie mam najmniejszego zamiaru wrócić na fotel prezesa Romy. Immobiliare nie ma tu nic do rzeczy. Immobiliare nie kupuje gazet. Jeśli już, te dzienniki interesują spółki z grupy, które jednak łączą się z Chrześcijańską Demokracją. Marchini, który wszedł do Immobiliare, to mój bratanek, Alessandro, syn mojego brata Alfio. Ja nie chciałem wejść do Immobiliare i dalej będę radził mojemu bratankowi, żeby stamtąd odszedł. Nie jest tak, że nie wierzę w tę firmę. Dla Romy Immobiliare to ważna rzecz. Może zrobić w branży budowlanej to, co Fiat zrobił w sektorze samochodowym. Ale za dużo rzeczy nie pasuje, więc postanowiłem trzymać się z daleka. Powiedziałem to już wielu dziennikarzom. Wysłałem nawet list ze sprostowaniem. Ale cóż... Dalej pisze się, że ja też wszedłem do Immobiliare. Przyjechał tu do mnie dziennikarz "Corriere della sera", Gaetano Scardocchia. Chciał mieć informacje w pierwszej ręce, zanim napisze wywiad, i ja mu je podałem, ponieważ zawsze jestem po stronie prawdy. A jednak napisał coś zupełnie przeciwnego, niż mu powiedziałem. To znak, że miał w głowie artykuł jeszcze zanim się tu zjawił. To ma być obiektywność w stylu anglosaskim, jaką zapowiadał jego dyrektor Piero Ottone? Były nawet podstawy do pozwu sądowego, ponieważ zaliczono mnie do "starej gwardii o podejrzaną przeszłość". A przecież spośród 230 budowlanców oskarżonych w związku ze skandalem Magliana tylko my, Marchini, wyszliśmy z tego bez skazy. Wolność prasy jest piękna, ale nie może być zezwoleniem na oczernianie ludzi.

Porozmawiajmy o sporcie. Czy to prawda, że Pana zięć nie posłuchał Pana, kiedy radził mu Pan, żeby opuścił Romę?

AM: Powiem Panu wprost. Jako kibic Romy jestem zadowolony, że został. Gdyby nie Cordova, Roma skończyłaby w Serie B. I nie mówię tak, dlatego że Ciccio jest moim

zięciem. Cordova to prosty człowiek. Gra, ponieważ lubi to robić. Na pewno jest zawodowcem, ale nie jest franciszkaninem. Robi to też dla zysku. Podstawą jest jednak pasja. Pozostał "czysty", zachowuje się trochę naiwnie, czasem nawet głupio. Usuwają go ze składu w meczu z Ascoli, bardzo łatwym, a potem pytają, czy da radę zagrać w Turynie z Juventusem, a on - właśnie z powodu pasji - się zgadza. To, co się stało potem (oskarżenia, grzywna, rozmowa z Anzalone w Casina Valadier) mogłoby być tematem kabaretowego skeczu. Ale ja nie chcę wywoływać polemiki. Lepiej zmieńmy temat.

Dlaczego zgodził się Pan zostać prezesem Romy? Sportowa pasja czy inne powody? Proszę być szczerym.

AM: Nie mam nic do ukrycia. Zanim zostałem prezesem, byłem doradcą. Wszedłem do kierownictwa w 1965 roku, ponieważ chciałem pomóc koledze, Francesco Marinemu Dettinie, który był bliski zrujnowania się dla Romy.

Mówiło się, że Marini Dettina stracił na Romie miliard lirów. Ówczesny miliard.

AM: Ja mogę powiedzieć z kolei, że udało mi się odzyskać dla niego prawie wszystko. Naturalnie to, co widniało w budżecie Romy. Wiele wydatków jednak było dokonywanych pod stołem, jak to wtedy było w zwyczaju. I nie mogłem oczywiście odzyskać dla niego także tych milionów. Te na pewno stracił. Ale odzyskał sporą część reszty i to go uratowało.

Po krótkim panowaniu Ranucciego pojawiła się potrzeba wprowadzenia nowego prezesa na odpowiednim poziomie. W 1968 roku Franco Evangelisti uznał, że będzie Pan właściwą osobą. Pan jest komunistą, Evangelisti chrześcijańskim demokratą. Jak udaje wam się dogadywać?

AM: Evangelisti to człowiek, którego należy taktować serio. Typowy poseł Demokracji Chrześcijańskiej. Jesteśmy przyjaciółmi, to prawda, czasem wychodzimy razem na kolację, z rodzinami. Raz płacę ja, raz płaci on. Ale nie jest tak, że podzielam jego sposób działania. Nie myślę o tym, żeby zbudować żółto-czerwony senat złożony ze wszystkich byłych prezesów Romy. Jaki sens miałoby tworzenie takiej kasty? Prawdopodobnie zrezygnował z tego sam Evangelisti. Pamięta Pan, jak organizował galę "Oscar giallorosso", żeby nagrodzić najlepszego gracza Romy? Teraz już się o tym nie mówi. Aby wyjaśnić, jak działa Evangelisti, opowiem Panu jeden epizod. Jestem właścicielem hotelu Leonardo da Vinci, w który Evangelisti, jako prezes Federboxe, zorganizował konferencję prasową, żeby zaprezentować Benvenuto. Trafiłem tak przez przypadek, kiedy konferencja już trwała. Evangelisti mnie zobaczył, złapał mnie i zmusił do zajęcia miejsca przy stole prezydialnym między nim a Benvenuto. Ale co ja mam wspólnego z boksem?

Nie podoba się Panu pomysł żółto-czerwonego Senatu, z jakim wyszedł Evangelisti. Ale pomysł na uczynienie Romy większym klubem jednak Pan miał, czyż nie?

AM: Na pewno. Ustawa budżetowa. I jeden z wiceprezesów Romy, mój przyjaciel Ugolini, przyznał, że Roma straciła wielką okazję dwa lata temu, kiedy Anzalone nie

przyjął mojego pomysłu ustawy budżetowej (mała ustawa budżetowa, jaką stworzyli oni, niczemu nie służy; w praktyce ograniczyli się do zastąpienia wierzycieli). Ja myślałem o ustawie budżetowej, kiedy byłem jeszcze prezesem Romy. Czasy się zmieniły. Prezes-mecenas już nie istnieje. Kluby mają formę przedsiębiorstw. Dobrze życzę Anacleto Gianniemu, który na ostatnim posiedzeniu lansował "Libretto giallorosso". Poza tym, że to bardzo skomplikowane, z odsetkami podzielonymi między Romę i klienta, co oznacza podwójną pracę dla banku, oraz poza tym, że wiadomo już było, że odsetki praktykowane obecnie są fikcyjne, muszę powiedzieć, że pomysł książeczki oszczędnościowej dla kibiców jest gorszy od sławnej zbiórki pieniędzy w teatrze Sistina.

Był Pan także doradcą w Lega Nazionale. Uważa Pan, że transformacja w spółkę akcyjną była krokiem pozytywnym dla włoskiej piłki?

AM: Bez wątplenia. Ja byłem zwolennikiem spółek akcyjnych. Uważałem, że prywatny mecenat jest niemoralny. Niemoralny także wobec innych. Poza tym jedna osoba, sama, ze wszystkimi tymi zobowiązaniami, nie bawi się już wcale, będąc prezesem. Forma spółki akcyjnej pozwala na precyzyjny podział odpowiedzialności, nawet jeśli reforma nie została przeprowadzona do samego końca. Myśleli, że uda się wszystko rozwiązać przez pożyczkę, nie biorąc pod uwagę faktów, czyli tego, że większa część budżetów była fałszywa, a przez pożyczkę pojawią się kolejne odsetki do spłacania. Nie uwzględniono też naszego kodeksu cywilnego, który nie przewiduje formy spółki akcyjnej non-profit i kto wie, kiedy zostanie przeprowadzona reforma.

Ale jak Pan ocenia postawę Państwa?

AM: Jestem komunistą, więc odrzucam w całości burżuazyjne społeczeństwo, nawet jeśli muszę je zaakceptować, ponieważ jestem obywatelem włoskim i w konsekwencji stanowią część tego społeczeństwa. I staram się to wytłumaczyć także moim robotnikom. Oni mnie uważają za szefa i nie mylą się. Ale trudno mi sprawić, żeby myśleli sami. Jeśli stanowią część kapitalistycznego społeczeństwa, to ja też muszę się dostosować do pewnych reguł. Chciałbym podnieść im pensje, ale nie mogę. Panuje konkurencja. Jeśli apartament kosztuje więcej, to nie mogę go sprzedać, bo nabywca kupi go on mojego konkurenta za niższą cenę. Mówię więc: czy chcemy zmienić to społeczeństwo? Zmieńmy je! Sam mogę włożyć mundur partyzanta i jestem z wami.

Walczył Pan w ruchu oporu i przyczynił się do budowy nowych Włoch. Co Pan czuje po 30 latach?

AM: Wielką gorycz. Ponieważ my, walcząc w partyzantce, śpiąc pod gołym niebem w górach z bronią u boku, ryzykując życie, wierzyliśmy, że naprawdę możemy uczynić Włochy lepszymi. Łączył nas ten sam ideał. Nie pytaliśmy, czy jesteśmy demokratami, liberałami czy komunistami. Chcieliśmy lepszego kraju, żeby nasze dzieci miały lepszą przyszłość. Po 30 latach widzę, że nasze nadzieje się nie spełniły.

Jaki jest Pana pomysł na zmianę? Jak Pan sądzi, co należałoby zrobić?

AM: Moje idee są spójne. Jestem komunistą, jak mój ojciec, który był komunistą, ponieważ był murarzem. Dzięki mojej pracy zgromadziłem małą fortunę, ale zawsze jestem blisko robotników. Jednak widzę, że coś jest dziś nie tak nawet w klasie robotniczej. Nie mówię, że robotnicy są wykorzystywani przez związki zawodowe, bo przecież związki te mają święty obowiązek bronić ich praw. Kodeks robotników to ewangelia, ale jest także nieaktualny i utopijny. We Włoszech brakuje prawdziwego kodeksu pracy. W szkołach jest pięć czy sześć związków zawodowych. To wszystko to głównie demagogia. Moment jest krytyczny, wszystko się wali. Pieniądz kosztuje 25%, fabryki muszą przerywać pracę, a wtedy wszystko się zatrzymuje. To trudny moment na arenie międzynarodowej, to prawda, ale trzeba powiedzieć, że we Włoszech popełnia się błędy pod każdym względem. Teraz będziemy musieli błąkać się po świecie, starając się wzruszyć szachów i szejków. To wszystko jest niepoważne. To dzieło burżuazyjnego społeczeństwa. Z drugiej strony moi robotnicy są pierwsi do przyznania, że nie ma sensu robić rewolucji. Trzeba zmienić Włochy w ramach systemu demokratycznego. Powinniśmy zaufać demokracji, a tymczasem panuje powszechna niewiara w nią. Mam nadzieję, że dojdzie do historycznego kompromisu. Komuniści pokazali, że potrafią dobrze administrować wspólnymi dobrami tam, gdzie mają większość. Dobrze spiszą się także w Rządzie.

Kierowanie Romą przyniosło Panu jakieś korzyści w zdobywaniu licencji budowlanych?

AM: Korzyści? Wręcz przeciwnie. Stałem się obiektem wielkiego zainteresowania fiskusa. Urząd skarbowy w ciągu dwóch lat cztery razy poddał mnie kontroli, a dyskryminacja była tak dotkliwa, że zadzwoniłem w końcu do ówczesnego Prokuratora Generalnego, pana Carmelo Spagnolo. Porozmawiałem z jego sekretarzem, przedstawiłem się jako "obywatel" i poprosiłem o spotkanie. Sekretarz chciał poznać nazwisko obywatela i kiedy powiedziałem, że jestem Marchini, oddzwoniono do mnie po 5 minutach. Nazajutrz o 11 miałem już spotkanie. Poszedłem tam z tabelką z podatkami z ostatnich 4 lat. Spagnolo powiedział mi: "gdyby we Włoszech było 10 płatników takich, jak Pan, to z naszym Państwem byłoby wszystko dobrze". Ale jeśli chodzi o podatek rodzinny, to jestem drugi za Torlonią, który zresztą zwyczajowo już jest pierwszy. W Rzymie jest wielu przemysłowców bogatszych ode mnie, ale pozostają w cieniu. Ja stałem się sławny jako prezes Romy i fiskus ciągle mi teraz tarasuje drogę. Fiskus? Nie ma problemu. Ale powinien być chyba taki sam dla wszystkich!

Ale jednak interesy idą Panu dobrze. Wielu chciałoby być na Pana miejscu.

AM: Ale ja wstaję codziennie o 6.15 i haruję cały dzień jak niewolnik. Wieczorem zasypiam po obejrzeniu przez chwilę telewizji. Ostatni film widziałem dawno temu, ponieważ moja żona chciała pójść w święta do kina. Moje córki robią sobie ze mnie żarty, wkładając mi do kieszeni 50 000 lirów, które wyciągają po miesiącu nawet nie ruszone, ponieważ nie wiem, jak je wydać. Kiedy przychodzą święta, moja żona pyta mnie: "gdzie dziś pójdziemy?", a ja odpowiadam, że chcę zostać w domu, odpocząć i nacieszyć się tym domem. Mam piękną willę, to prawda, ale zbudowałem ją sobie sam w 1950 roku. To dom mojej rodziny. To, że znalazłem się na świeczniku jako prezes Romy, zaszkodziło mi pod wieloma względami. Pracownik urzędu

skarbowego sprawdził nawet, czy w mojej willi jest basen z zimną i ciepłą wodą. Oni mieli swój raport i nie słuchali wyjaśnień, więc zaprosiłem kontrolera, żeby popływał w moim basenie i sam sprawdził. Mam piękną kolekcję obrazów, to prawda, ale zacząłem je kolekcjonować w 1933 roku i to kosztem wielu poświęceń, ponieważ kocham sztukę. Gdyby Pan wiedział, ilu malarzom pomogłem w trudnych chwilach. Prawie wszyscy, kiedy stali się sławni, nie okazali ani krzty wdzięczności, ale to już inna sprawa... Mówiłem o moim życiu. Nie mam nawet łodzi, także dlatego, że nie lubię morza. W zimie jeżdżę do Grottaferrata i wyskakuję na 3-4 dni do Londynu, żeby spotkać się z przyjacielem, Peronace. W ciągu ubiegłego lata byłem na krótkich wakacjach w Brunico, ale tylko dlatego, że doktor zalecił mi długi odpoczynek po operacji. Nasz zawód jest dziwny. Teraz przygotowuję plan na Vigna Murata, ale przez pięć lat będę miał mnóstwo wydatków. Zacznę zarabiać dopiero za jakieś pięć lat. Powiedz jednak fiskusowi, że przez pięć lat nic nie zarobię... Oszacowali mi dochód do opodatkowania na 350 milionów. Powiedziałem: "OK, ale pod warunkiem, że i inni będą proporcjonalnie opodatkowani". Potem, czytając "La Stampa" z Turynu odkryłem, że Agnelli został oszacowany na 320 milionów i powiedziałem wtedy, że to jednak nie jest w porządku.

Pozostanie Pan w historii piłki jako prezes, który najwięcej zapłacił trenerowi. Helenio Herrera otrzymał w jednym roku 230 milionów.

AM: Tego skandalicznego kontraktu nie zawarłem ja. Ja go otrzymałem po poprzednikach. Od razu powiedziałem zarządowi, że to niemoralne. Odwołałem się do władz ligowych, żeby unieważnić kontrakt, opowiedziałem wszystko prezesowi, którym wtedy był Stacchi, wyjaśniłem mu też, że H.H. dostałby wiele pieniędzy pod stołem. Stacchi mi odpowiedział, że moje oskarżenia są poważne, że pogwałciłem regulamin Ligi i będę musiał zostać zawieszony. Pamiętam, że był też Arrica i powiedziałem wtedy, że powinniśmy być uczciwi wobec siebie, a nie wzajemnie się oszukiwać, ponieważ w księgach rachunkowych było napisane, że Cagliari daje Rivie 40 milionów, a ja wiedziałem, że dostaje on 110. Moje konflikty z Herrerą zaczęły się właśnie od tego skandalicznego kontraktu. Niestety nie mogłem zrobić tego, co chciałem także z powodu prasy.

Był Pan przyjacielem Anzalone. Dlaczego potem ta przyjaźń została zerwana?

AM: Na pewno nie z mojej winy. Anzalone był przyjacielem rodziny. Ja dalej przyjaźnię się z jego ojcem i siostrami. W Rzymie wszyscy uznawali go za mojego kompana. Ale potem się zmienił, uwierzył w historie o spiskach i zaangażował w nie także Cordovę. Pewnego dnia mnie zaszokował i zadzwoniłem do niego właśnie z tego telefonu, mówiąc mu, że jeśli dalej będzie się tak zachowywał, to go pogonię, jak to się robi z niegrzecznymi chłopcami, ponieważ my dalej traktujemy się jak młodych chłopców, choć ma już 45 lat.

Co Pan sądzi o dzisiejszej włoskiej piłce i o reprezentacji powierzonej Bernardinemu?

AM: Bernardini przypomniał, że chciałem sprowadzić go do Romy po odesłaniu Herrery, i rzeczywiście to prawda. Ale ja chciałem zrobić z niego dyrektora

technicznego (i jednocześnie włączyć go do zarządu klubu jako członka kierownictwa) z młodym trenerem u boku. Myślę, że także w reprezentacji powinno się stworzyć tego rodzaju tandem. Nie jestem konserwatystą, idę do przodu, rozumiem młodych, ale zawsze trzeba zachować ostrożność.

Anzalone rozszerzył zarząd Romy. Wydaje się, że ma wielkie plany.

AM: Kilku nowych członków rzeczywiście dołączyło do zarządu klubu, ale trzeba by się zastanowić, jak ich zrekrutowano. Jednym z nich jest Belli z Banku Santo Spirito. Budowaliśmy nową siedzibę tej instytucji w dzielnicy EUR. Spotkałem Belliego na inauguracji. Opowiedział mi, że był z rodziną poza Rzymem i z gazet dowiedział się, że został wybrany do zarządu. Nic o tym nie wiedział.

Mówi Pan, że w Rzymie wiele rzeczy nie funkcjonuje dobrze. Ale w Lazio panuje anarchia, a jednak Lenzini wygrał scudetto.

AM: Ale w Lazio nie brakuje władzy i silnej ręki. Rządzą Wilson i Chinaglia. Siłą Lazio jest Wilson, który stworzył pewien rodzaj kasty. Można chyba nawet mówić o mafii. Władza na pewno jest.

Czego brakuje, żeby Włochy znów ruszyło z kopyta?

AM: Brakuje historycznego kompromisu. Najwyższy czas. Nie żyjemy już w czasach, kiedy, po wyzwoleniu, Włochy podzieliły się na dwa światy. Dziś Italia wchodzi w nową epokę. Musimy się wszyscy zjednoczyć, demokratyczni chrześcijanie i komuniści.

Autor: kaisa